

**Dariusz Mężyk**

UNIWERSYTET ŚLĄSKI

**Ekonomia szaleństwa**

**w *Pamiętniku wariata* Mikołaja Gogola**

**O wiatrakach, *cogito*, teorii i szaleństwie**

Trzeba stworzyć historię tego innego rodzaju szaleństwa – innego rodzaju, który pozwala ludziom, poprzez gest suwerennego rozumu zamykającego drugiego u czubków, komunikować się i rozpoznawać siebie w bezlitosnym języku nie-szaleństwa; odnaleźć chwilę zmywy, kiedy to nie-szaleństwo nie mieściło się całkiem w królestwie prawdy, kiedy nie żywiło się jeszcze liryzmem sprzeciwu.

Michel Foucault

### **Wiatraki**

Pamiętacie Państwo doskonale postać wychudłego hidalgi – Don Kichota z Manczy, który od wieków przemierza na grzbiecie Rosynanta całą tradycję literacką, uosabiając wszystko, co szlachetne, czyste i dobre. Echa podróży – pościgu za marzeniami – Don Kichota pobrzmiwają dumnie w dziełach, które nawet dyletant skłonny jest uznać za doniosłe. Któż nie zna tej prostej fabuły: ubogi szlachcic, naczytawszy się ksiąg rycerskich, porzuca domostwo, by stawić czoło przygodzie. Kulminacją obłąkańczych poczynań bohatera jest walka z wiatrakami, która na wieki stała się ucieleśnieniem bolesnej konfrontacji marzeń z twardą rzeczywistością. Wspominając tę wzniosłą figurę, nie sposób pominąć wiernego giermka rycerza – Sancho Pansy – rubasznego świadka i towarzysza szalonej eskapady. Te dwie postaci wryły się w naszą pamięć jako czysta definicja kontrastu.

Z jednej strony wysoki zmizerniały idealista, z drugiej – niski i krępy wieśniak obdarzony przymiotami tego, co zwiemy – na przekór zdrowemu rozsądkowi – zdrowym rozsądkiem właśnie.

Wiosną 1952 roku, uzyskawszy urlop naukowy na macierzystej uczelni (Uniwersytet Cornell), Vladimir Nabokov skorzystał z zaproszenia Uniwersytetu Harvarda, aby przeprowadzić tam cykl wykładów. Rzecz miała dotyczyć powieści. Naturalny i oczywisty wybór padł na Cervantesa. Nabokov nie krył małej sympatii dla hiszpańskiego pisarza. Pod koniec swoich wykładów stwierdził nawet:

*Don Kichot* zalicza się do tych dzieł, których wielkość polega bardziej na odśrodkowej dyfuzji niż na wewnętrznej wartości<sup>1</sup>.

1 V. НАВОКОВ: *Wykłady o Don Kichocie*. Przeł. J. KOZAK. Warszawa 2001, s. 163.

O samym Don Kichocie wypowiedział się równie krytycznie:

Don Kichot jest dzisiaj znacznie większy, niż był w łonie Cervantesa. Od trzystu pięćdziesięciu lat przedziera się przez dżungle i tundry ludzkiej myśli – nabrał przy tym wigoru, zmęźniał. Już się z niego nie śmiejemy. Herbem jego jest litość, jego sztandarem – piękno. [...] Parodia zamieniła się w pochwałę<sup>2</sup>.

2 Ibidem, s. 164.

A jednak w toku rygorystycznej analizy – analizy, dodajmy, ilościowej – autor *Lolity* dostrzega dwie naczelną zasady konstrukcyjne omawianej powieści Cervantesa, których tylko z powodu „endemicznej ślepoty krytyków” (określenie Nabokova) można było nie dostrzec:

1. Wielowiekowa paplanina na temat Don Kichota wykształciła wizerunek natchnionego niezguły, który co rusz zbiera cięgi od swoich przeciwników. Tak naprawdę jednak bilans jego zwycięstw i porażek wynosi dokładnie 20:20. Więcej nawet, wynik remisowy jest w każdym z dwóch tomów i przedstawia się następująco: 13:13 w tomie pierwszym i 7:7 w tomie drugim. Co zrobić z taką informacją?

2. Sancho Pansa, modelowany przez krytykę jako równie komiczny kontrapunkt dla swojego pana, swoimi poczynaniami zadaje kłam podobnym uproszczeniom. Oto co na ten temat pisze Nabokov, powołując się na hiszpańskiego komentatora Salvadora de Madariagę:

szaleństwo Don Kichota i trzeźwość Sancza okazują się wzajemnie zaraźliwe: w miarę jak, w drugim tomie, u Don Kichota ugruntowuje się żyłka sanczeńska, Sancho stopniowo pogrąża się w szaleństwie godnym swego pana. Próbuje, na przykład, przekabacić własną żonę na wiarę w wyspy i szlachectwo, tak jak Don Kichot próbował kiedyś jemu wmówić, że wiatraki to olbrzymy, a gospody to warowne zamki. [...] W rzeczy samej, pod koniec powieści odnosimy wrażenie, że nasi dwaj bohaterowie pozamieniali się na marzenia i przeznaczenia<sup>3</sup>.

3 Ibidem, s. 51-52.

Jeden jeszcze aspekt podważa wygodne, kontrastowe modelowanie dwóch postaci. Imię Sancha pochodzi od hiszpańskiego *Zancas* (ang. *shanks*) oznaczającego ‘długie, cienkie ptasie nogi’.

O tym, co z tego wynika, Nabokov już nie pisze. Zdaje tylko relację z nieścisłości, jakie narosły wokół dzieła. Częściową odpowiedź na to pytanie znajdziemy w przedmowie Guya Davenporta do amerykańskiego wydania wykładów. Tam właśnie amerykański badacz odmalowuje krajobraz znany z czasów Cervantesa:

Hiszpania Filipa II była, na swój sposób, donkiszoteryjna. Jej szlachta paradowała w zbrojach, w jakich żaden kawalerzysta nie odważyłby się stanąć do bitwy. Filip – znany cwaniak, plotkarz i kutwa – miał zwyczaj na przeglądy wojsk wystawiać na baczność własną, pustą zbroję. Sam tymczasem siedział w pałacu, w otoczeniu lubieżnych tycjanów, i sprawdzał rachunki albo czytał i komentował na marginesie wszystkie listy wysyłane i otrzymywane przez gęstą sieć ambasad i szpiegów [...]. Tak jak Don Kichot, żył w świecie marzeń, którego iluzoryczna tkanka wciąż gdzieś się przecierała. Palił na stosach heretyków – ale jak odróżnić heretyka od nieheretyka? Czyż nie utknął w tej samej pułapce epistemologicznej, co Don Kichot, który w stadzie baranów widział, co prawda, barany – ale i Maurów? Okrutni szpiegzy Filipa ustawicznie przywozili do izby tortur ludzi deklarujących się jako uczciwi katolicy, podejrzewając ich o to, że są (trzeba tylko znać sposób wydobywania z nich prawdy) fałszywymi konwertytami, czyli humanistami, protestantami, Żydami, muzułmanami, ateistami, czarownicami i Bóg wie kim jeszcze. Europa przeżywała wówczas okres zachwiania poczucia rzeczywistości. Hamlet drażni się z Poloniuszem, ukazując mu wieloznaczne kształty chmur. A Don Kichot oszukuje sam siebie – i jest w tej roli ucieleśnieniem niepokoju swojej epoki<sup>4</sup>.

4 G. DAVENPORT: *Przedmowa do wydania amerykańskiego*. W: V. NABOKOV: *Wykłady o Don Kichocie...*, s. 16–17.

Czy wobec tego kondycja naszego hidalgi – owa płatanina zdrowego rozsądku z obłądem – mogłaby stanowić osobliwą transpozycję klimatu epoki? Epoki równie rozchwianej i niestabilnej jak wielki brzuch Sancho Pansy wsparty na tykowatych nogach? Być może. Pewne jest natomiast, że historia europejskiej powieści rozpoczyna się wraz z wtargnięciem na scenę postaci szaleńca.

### **Szalone *cogito***

Gdy w 1641 roku (36 lat od wydania pierwszego tomu przygód Don Kichota) Kartezjusz rozpocznie „od nowa i od podstaw”<sup>5</sup> budowanie gmachu nowożytnej filozofii, niechybnie skonfrontuje *homo rationalis* z obłąkańczym szeptem szaleńca:

Jak mógłbym przeczyć, że te ręce i to ciało jest moje, o ile nie miałbym być zarazem podobny do wielu chorych psychicznie, których mózgi są tak zmieszane i zaćmione przez czarne wapory żółci, iż twierdzą uparcie, że są królami, będąc nędzarzami, że są odziani w złoto i purpurę, będąc nadzy, albo też wyobrażają sobie, że są dzbanem albo że mają ciało ze szkła. Czyż nie byłbym również szalony jako oni, gdybym kierował się ich przykładem?<sup>6</sup>

5 Określenie samego Kartezjusza z pierwszej strony *Medytacji o filozofii pierwszej*.

6 KARTEZJUSZ: *Medytacje o filozofii pierwszej*. Przeł. J. HARTMAN. Kraków 2004, s. 32.

Nietrudno domyślić się, do czego pije tu Kartezjusz. Wspomniany opis wprost przywołuje omamy Don Kichota. Ale jest w tonie uczonego z La Haye ruch jeszcze wyrazistszy: oto na sposób naukowy lokuje on źródło niedorzecznych sądów wariata w substancji, którą już od czasów Galena zwykło się łączyć z usposobieniem melancholijnym. Komentując *Anatomię melancholii* – epokowe dzieło Roberta Burtona wydane w 1621 roku – Tadeusz Sławek tak pisze:

Melancholia jest chorobą pochodzącą z nadmiaru jednego z płynów organicznych, tzw. „czarnej żółci”. Taka etiologia wiąże melancholię zarówno z anatomią, jak i starożytną filozofią, a później alchemią oraz kosmologią. Melancholik nie jest więc jedynie chorym organizmem, lecz raczej organizmem, który swoją chorobą manifestuje zakłócenia w porządku świata i kosmosu<sup>7</sup>.

7 T. SŁAWEK: *Saturniczny pątnik. Robert Burton i jego „Anatomia melancholii”*. „Literatura na Świecie” 1995, nr 3, s. 61.

Ten sam Burton w swoim *opus magnum* nawiązuje do zdania Arystotelesa, podług którego wszyscy wielcy odznaczają się usposobieniem melancholijnym. Sławek zwraca w tym miejscu uwagę, że myśl Burtona idzie jeszcze dalej. Nie tylko już szczególnie uzdolnieni, ale i wszyscy – choć zapewne w różnym natężeniu – cierpią melancholię. Wniosek stąd jasny: wszyscy jesteśmy szaleni. A tak „upadek” w szaleństwo swojego bohatera ujmuje Miguel de Cervantes Saavedra:

Z tej przyczyny [czytania ksiąg rycerskich – D.M.] stracił biedny rycerz rozsądek i głowił się, by zrozumieć i rozwiłkłać sens, którego nie wydobyłby i nie pojął sam Arystoteles, choćby po to tylko zmartwychwstał. Nie widziało mu się, jak Don Belianis mógł tyle ran zadać i odnieść; wyobrażał sobie, że choćby go nie wiem jak wielcy mistrzowie leczyli, musiałoby mu jednak na twarzy i na ciele pozostać wiele szram i blizn. Mimo to wszystko wysoko stawiał autora, który tę księgę kończył obietnicą dalszych nie kończących się przygód, i wielekroć przychodziła mu chęć chwycić za pióro i doprowadzić ją do kresu, zgodnie z tą zapowiedzią<sup>8</sup>.

8 M. de CERVANTES SAAVEDRA: *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*. Przeł. A.L. CZERNY, Z. CZERNY. T. 1. Warszawa 1955, s. 36.

I tu koło się zamyka.

Oddaliśmy się jednak nazbyt pospiesznie od Kartezjusza. Powróćmy więc do momentu, owej wiekopomnej chwili, jak głosi legenda, kiedy to zbudzony ze snu<sup>9</sup>, w ciepłym pokoju, przy kominku rozprawi się filozof z szaleństwem swojej epoki:

9 Znamy doskonale płytki i niespokojny sen owładniętych twórczą melancholią.

W końcu to ja przecież odczuwam, czyli spostrzegam pewne rzeczy jakby organami zmysłowymi, a więc widzę światło,

10 KARTEZJUSZ: *Medytacje o filozofii pierwszej...*, s. 38.

słyszę hałas, czuję ciepło. I jeśli powiedzą mi, że przedstawienia te są fałszywe i że śpię, to niech tak będzie – wszelako przynajmniej pewne jest to, iż wydaje mi się, że widzę światło, że słyszę hałas, że czuję ciepło. To nie może być fałszem, i to właśnie nazywa się we mnie czuciem, które też nie jest niczym innym jak myśleniem. Teraz też zaczynam rozumieć trochę jaśniej i dokładniej niż wcześniej, jaki jestem<sup>10</sup>.

Nieco dalej francuski filozof zdradzi jeszcze jedną słabość własnej (ludzkiej) kondycji:

Swoją drogą, nie mogę nadziwić się, ile jest w mej duszy słabości i zwodów, które wprawiają ją w błąd. Bo chociaż wszystko to rozważam w sobie bez słów, to jednak słowa cały czas przykuwają mnie do siebie, tak iżomalże jestem oszukiwany przez język potoczny<sup>11</sup>.

11 Ibidem, s. 39–40.

Jakiż to język nie-potoczny, idealny miałby uchronić Kartezjusza przed obłudą pisma? I czy wreszcie w samym pytaniu nie skrywa się podstęp (rezygnacja?) tego, który pisząc, powstrzymuje się od pisania? Żywioł pisma zostaje tu poskromiony, ten sam ruch sankcjonuje tu nieskończone aspiracje nauki. Powstaje wielki projekt, w obliczu którego Kartezjusz – jak to wyraził Bataille –

nie mógłby zachować głębszej pewności, która znika, gdy nie jest się już pod urokiem projektu<sup>12</sup>.

12 G. BATAILLE: *Doświadczenie wewnętrzne*. Przeł. O. HEDEMANN. Warszawa 1998, s. 195.

Cięcie, jakiego dokonuje w tym miejscu filozofia, jest nie tylko ruchem powstrzymania (aby móc pójść „dalej”), ale wywołuje już określone efekty społeczno-polityczne, których pierwszą ofiarą staje się postać szaleńca.

Na początku XVII wieku istnieli we Francji sławni szaleńcy, których kosztem publiczność – nawet wykształcona – lubiła się zabawić; niektórzy – jak Bluet d’Arbères – piszą książki publikowane i czytane jako dzieła szaleństwa. Aż do około 1650 roku kultura zachodnia była dziwnie przychylna tego rodzaju zjawiskom. W połowie XVII wieku dochodzi do nagłej zmiany: świat szaleństwa staje się światem wykluczenia<sup>13</sup>.

13 Ibidem, s. 103.

14 W tym miejscu należy przyznać, iż redaktorzy pisma dość ostrożnie szafowali tym entuzjazmem. Sam McCloskey jest tu przytaczany bardziej jako wybryk lub ciekawostka.

### Teorie

Przenieśmy się na moment w czasy mniej odległe. W listopadzie 1991 roku ukazał się numer „Tekstów Drugich” pod kuszącym szyldem: *Ekonomia po literacku*. Szyld ten znamionował – jak sądzę – euforię kraju oszołomionego wolnym rynkiem i wolnością słowa<sup>14</sup>. Punk-

tem kulminacyjnym tego zbioru były *Gawędy ekonomistów* pióra Donalda N. McCloskeya – awanturnika skłonnego widzieć w ekonomistach opowiadaczy kiepskich fabuł. Zbiór tekstów pomieszczonych w tym numerze czasopisma otwiera krótki artykuł Zdzisława Łapińskiego o znaczącym tytule: *Wiedza posępna, wiedza radosna*. Znajdziemy tam między innymi takie – zdawałoby się oczywiste – spostrzeżenie:

Oto filozofowie, prawnicy, socjologowie, nawet metodolodzy nauk przyrodniczych, ostatnio zaś i ekonomiści, nagle odkrywają, że to, nad czym pracują, a przynajmniej to, co podają do publicznej wiadomości, ma formę, jak dawniej mówiono, piśmiennictwa. Stanowi tkankę słowną, z której nie można wypruć przędzy literackiej bez uszkodzenia całej materii<sup>15</sup>.

15 Z. ŁAPIŃSKI: *Wiedza posępna, wiedza radosna*. „Teksty Drugie” 1991, nr 5, s. 5.

Komuś, kto wyobrażał sobie w tamtym czasie, że odtąd wszelka tekstotwórcza działalność będzie przechodzić przez ręce filologów, a badacze rozmaitych dziedzin będą musieli zdać sprawę z kłopotliwego uwikłania w język, kolejne lata zdawały się przyznawać rację. W każdym razie takie wrażenie można było odnieść na licznych wydziałach teorii literatury, gdzie ochoczo przyswajano teksty Bachtina, Derridy, Barthes’a czy Foucaulta. Warto przy tym pamiętać, że wspomniana czwórka „zrodziła się” na kanwie rygorystycznej analizy tekstów mogących śmiało uchodzić za epokowe, co znaczy „trudne” (dość wspomnieć Goethego, Hegla, Balzaka czy Freuda). Teksty, jakie powstały w tamtym czasie – czasie uważnego odkrywania dorobku rodzącej się teorii – przysporzyły swoim autorom licznych zasług. To właśnie tym tekstom badacze ci zawdzięczają tytuły naukowe i uniwersyteckie posady. Duma teorii zrodziła wreszcie charakterystyczne iście awanturnicze, które przebojem wkradały się na nasze półki, mając w zanadrzu jedno spojrzenie, którym charakterystyki omiały bez mała cały wszechświat. Nastąpiło zjawisko przewrotne. Okazało się bowiem, że teoria, interpretacja, które miały zdać sprawę z językowej natury poznania, otwierając tym samym<sup>16</sup> furtkę do ekumenicznej, interdyscyplinarnej debaty, poczęły szukać ubezpieczenia od strony innych nauk i w ten sposób historia zatoczyła koło po raz wtóry. Pokolenie spadkobierców wielkich komentatorów z ominięciem literackich podwalin, które tkwią u podstaw tego, co zwiemy teorią<sup>17</sup>, jęło bez pamięci testować pismo z pomocą gotowych scenariuszy interpretacji. Szybko się okazało, że sam scenariusz wychodził z takiej konfrontacji bez szwanku. Jeśli, rozwiązując ankietę psychologiczną, mieliście Państwo wrażenie, że na wszelkie pytania brak tam właściwej (Waszej) odpowiedzi, to mniej więcej takie wrażenie można odnieść, czytając interpretacje części badaczy. Od pewnego czasu mamy do czynienia

16 Zgodnie z marzeniem Bachtina.

17 Warto przy tym pamiętać, że owa teoria jest tylko tym, co już od zawsze w tych tekstach było.

ze zjawiskiem permanentnego regresu interpretacji. Już nie tylko wybitne teksty stają się łatwym łupem poławiaczy „prawdy”, ale dyskusja zбочyła na ścieżkę dyskusowania o samych tylko tekstach. Racja, jeśli coś istnieje (lub wydaje nam się, że istnieje), to najlepszy powód, aby poświęcić temu uwagę. Tylko czy istotnie korzyść wynikłą z analizy przygód psa Pluto według Slavoja Žižka można porównać z wnikliwymi analizami Bataille’a dokonywanymi przez Derridę?

Nie chodzi o to, aby czytać tekst sam w sobie (bez zaplecza) – pragmatyzm dowiódł niemożności takiego przedsięwzięcia – lecz o to, aby ryzykując swój honor, pozycję, podążyć za tekstem tak daleko, jak to tylko możliwe. Pozwolić rygorom tekstu zaprowadzić nas na manowce sensu. Sensu, który ruchem nietzscheańskim należałoby natychmiast przekreślić.

W tym kontekście próba ugruntowania pozycji filologa od strony politycznej czy ekonomicznej jest tak naprawdę zabiegiem śmiesznym. To zupełnie tak, jak gdyby nie godząc się z istotą nie-wiedzy<sup>18</sup>, dezertując w obliczu krążącego szaleństwa, trzeba było angażować autorytet dziedzin, w których magicznej mocy – chcąc nie chcąc – pozostaje społeczeństwo.

Derrida:

Śmieszne jest to poddanie się oczywistości sensu, sile nakazu: żeby sens mieć, żeby nic się ostatecznie przez śmierć nie straciło, żeby także ona uzyskiwała jeszcze znaczenie „negatywności abstrakcyjnej”, żeby zawsze możliwa była praca, która opóźniając rozkosz, nadaje owemu narażeniu sens, powagę i prawdę. To poddanie się jest istotą i żywiołem filozofii, heglowskiej onto-logiki. Absolutny komizm polega na strachu przed wydatkowaniem na wieczne nieoddanie, przed absolutną ofiarą z sensu: bezpowrotną i nie pozostawiającą zapasu. Pojęcie „Aufhebung” (pojęcie najzupełniej spekulatywne, powiada nam Hegel, któremu język niemiecki nadaje trudny do zrozumienia przywilej) jest śmieszne, jako że oznacza krzątanie dyskursu, który dostaje zadyszki, usiłując przywłaszczyć sobie wszelką negatywność, zamienić narażenie w inwestycję, zamortyzować absolutny wydatek, nadać sens śmierci, nie widząc zarazem przepastności bezsensu, z której czerpie i w której się wyczerpuje zapas sensu<sup>19</sup>.

I nieco dalej:

Poetyckie czy ekstatyczne jest to, co w każdym dyskursie może się otworzyć na absolutną zatrata swego sensu, na

18 „Nie będzie to jakaś nie-wiedza, wpisująca się w dzieje wiedzy niczym figura (dająca możliwość znalezienia się) w zasięgu dialektyki, ale absolutne przekroczenie wszelkiej episteme, wszelkiej filozofii i nauki” – powiada Derrida. J. DERRIDA: *Od ekonomii ograniczonej do ekonomii ogólnej*. W: IDEM: *Pismo i różnica*. Przeł. K. KŁOSIŃSKI. Warszawa 2004, s. 466.

19 J. DERRIDA: *Od ekonomii ograniczonej...*, s. 447.

(nie)grunt(owanie) *sacrum*, bezsensu, niewiedzy lub narażenia, na utratę świadomości, z której budzi się przypadkiem<sup>20</sup>.

20 M. FOUCAULT: *Choroba umysłowa a psychologia*. Przeł. P. MRÓWCZYŃSKI. Warszawa 2000, s. 453.

21 Zgodnie z etymologią: łac. *punctio* 'ukłucie' od *pungere* 'kłuć' i *culminare* 'wywyższać'.

22 Zasadnicza część pracy Nabokova.

23 Zob. M. GOGOL: *Pamiętnik wariata*. Przeł. J. WYSZOMIRSKI. W: M. GOGOL: *Wybór pism*. Wstęp N. MODZELEWSKA. Warszawa 1954. Cytaty z *Pamiętnika wariata* za tym wydaniem.

24 Warto w tym miejscu nadmienić, że dyrektor jest tu postacią wyższą stopniem niż naczelnik wydziału.

Ponowoczesność ruchem błędnego koła (błędnego rycerza?) doprowadziła do ugruntowania zdobyczy tradycyjnej metafizyki. W punkcie kulminacyjnym<sup>21</sup> zamknęła oczy na własne zdobycze.

Żądanie sensu – oto co przez wieki przykryło tumanem kurzu szaleństwa Don Kichota i jego wiernego giermka. Już prosty ruch, praca streszczenia<sup>22</sup>, odkrył niepokojącą ekonomię tekstu. Strach pomyśleć, cóż by się stało, gdyby Nabokov podjął wysiłek wniknięcia w fałdy tekstu, porzuciwszy strukturalne bariery. Tym właśnie próbuję się tu zająć, przypominając Państwu postać kolejnego z wielkich szaleńców literatury – Gogolowskiego Poprisczina *vel* Ferdynanda VIII<sup>23</sup>.

Nie zaproponuję wycieczek do Marksa, nie skonstruuje żadnego systemu, który w syntetyczny sposób uwięziłby na powrót mojego bohatera w zakładzie dla obłąkanych. Przeciwnie, śledząc peregrynacje Poprisczina, postaram się odsłonić ekonomię samego tekstu. Ekonomię w jej źródłowym znaczeniu: *oikos* (*oikos*) – 'dom' i *nomos* (*nomos*) – 'prawo, reguła'.

### Poprisczin

Poprisczin jest dość typowym przedstawicielem drobnourzędniczego światka. W departamencie pełni funkcję radcy tytularnego. Oznacza to, że na dwunastostopniowej drabinie rang służbowych zajmuje miejsce ledwie dziewiąte. Jest mężczyzną po czterdziestce.

W ciągu wielu lat monotonnej pracy nie dochrapał się zaszczytów ni uznania. Z racji czy to nieszczególnych zdolności, czy nieprzesadnej sumienności nie cieszył się ponadto przychylnym spojrzeniem naczelnika wydziału. Codzienny rozkład czynności Poprisczina był bardzo skąpy: wypełnianie akt i dzienników kancelaryjnych oraz temperowanie pióra w gabinecie dyrektora<sup>24</sup>. Słowem, położenie mężczyzny było nad wyraz niekorzystne. Z czasem w umyśle bohatera wydarzyło się coś niepokojącego. Wszystko rozpoczęło się wraz z pojawieniem się na scenie córki dyrektora. Poprisczin zaczął marzyć, w swych marzeniach snuł wizje wielkiej kariery, w końcu osiadł na tronie zakładu psychiatrycznego jako Ferdynand VIII – król hiszpański. Ot, cała historia.

Łakomy to kąsek dla wszelkich aktywistów. Jest tu krytyka zmurzonej biurokracji, niedola poczciwego urzędnicy, pochwała rosyjskiej duszy, wreszcie uszczypliwości pod znanym adresem: „A ja kpię sobie z jego bezsilnej złości, ponieważ wiem, że działa jak maszyna, jako narzędzie Anglika” (*Pamiętnik wariata*, s. 262). Aż ciśnie się na usta jakiś *passus* ojców założycieli:



Zacofaniu Rosji i jej absolutyzmowi odpowiada pozbawienie ludu wszelkich praw wobec stanu urzędniczego, zupełny brak kontroli nad uprzywilejowaną biurokracją... Przeciwno wszechwładnej, nieodpowiedzialnej, przekupnej, barbarzyńskiej i pasożytnącej biurokracji rosyjskiej występują bardzo liczne i najróżnorodniejsze warstwy narodu rosyjskiego<sup>25</sup>.

25 W. LENIN: *Zadania socjal-demokratów rosyjskich*. W: IDEM: *Dzieła*. T. 2. Warszawa 1950, s. 352.

Ot, gotowy przepis, jak zepsuć lekturę.

Szukając odtrutki, pospieszmy za Poprisczinem. Cały kłopot bohatera rozpoczyna się pewnego poranka. Zbudziwszy się po godzinie dziesiątej, fatyguje się do biura bynajmniej nie w celu dopełnienia obowiązków służbowych, lecz w nadziei „wybłagania jakimś cudem” niewielkiej choćby zaliczki. Dostrzegłszy karetę jego „eks-cji”<sup>26</sup>, rychło zapomina o swoim przedsięwzięciu.

26 Tak Poprisczin ochrzcił dyrektora departamentu.

O tej porze pasażerem pojazdu mogła być wyłącznie córka dyrektora. Poprisczin podąża śladem karety aż do domu Zwierkowa. Tego dnia nie pojawi się w urzędzie. Powstrzymanie od pracy, duch nieposłuszeństwa – oto pierwsze wykroczenie wielkich szaleńców („W domu przeważnie leżałem w łóżku” – *Pamiętnik wariata*, s. 255). Don Kichot porzuca gospodarstwo, Poprisczin nie idzie do urzędu. Rysuje się wszakże rozbieżność. Don Kichot jest ziemianinem. Gospodaruje – by tak powiedzieć – sam sobie. W zasadzie nikt go zewnątrz nie napiętnuje. Tymczasem bohater Gogola jest okrutnie męczony. Aparat psychiatryczny zimną wodą stara się ostudzić gorącą głowę Poprisczina. Umęczony, zadaje on słuszne pytanie o celowość takiego zabiegu:

Nie mam już siły cierpieć! Boże, co oni ze mną wyprawiają! Leją mi na głowę zimną wodę. Nie widzą, nie słuchają mnie, głusi są na moje błagania. Co im zrobiłem? Za co mnie męczą? Czego chcą ode mnie, biednego? Cóż ja im mogę dać? Nic nie mam.

*Pamiętnik wariata*, s. 262

Siłę tej pretensji trudno przecenić. Dlaczego? Ponieważ radca tytularny nikomu *de facto* nie czyni krzywdy, nikomu nic nie odbiera. Właściwie zdaje się pytać: komu, u diabła, przeszkadza moje szaleństwo?! Ten prawdziwie ludzki pierwiastek Poprisczina nie jest już tylko momentem, w którym „rozsądek” uchyla „logikę” szaleństwa i skłania do wzruszeń (szaleństwo – i w tym cały kłopot – nie jest homogeniczne, ale w kratkę). Zwiastuje natomiast wkroczenie czystej różnicy w świat homogeniczny, ryzyko wszelkiego systemu i wszelkiej hierarchii. Era, która nadchodzi, jest zaś wysoce systematyczna.

Foucault:

szaleństwo [od czasów Freuda – D.M.] pojawiło się nie jako podstęp ukrytego znaczenia, ale jako cudowna rezerwa sensu. Należałoby rozumieć słowo „rezerwa” tak, jak na to zasługuje; to więcej niż zapas, chodzi tu o figurę powstrzymującą i zawieszającą sens, zagospodarowującą pustkę, gdzie pojawia się niespełniona jeszcze możliwość, że zajmie ją sens taki, inny czy jeszcze inny – i tak być może bez końca. Szaleństwo otwiera wakującą rezerwę, określającą i uwidaczniającą tę wklęsłość, gdzie język i mowa nawzajem się implikują, powstają dzięki sobie i mówią wyłącznie o swym niemych jeszcze związku. Od czasów Freuda zachodnie szaleństwo przestało być językiem, bo stało się językiem podwójnym (systemem językowym, który istnieje tylko w mowie, mową, która wypowiada tylko system językowy) – to znaczy matrycę języka, który, w ścisłym sensie, o niczym nie mówi. Fałdem mówienia – nieobecnością dzieła<sup>27</sup>.

W takim sensie szaleństwo jest tym, co w sposób nieobliczalny nachodzi wszelki dyskurs. Dyskurs władzy urzędniczej nachodzi również Ferdynanda VIII:

Dziś przyszedł do mnie nasz egzekutor, wzywając mnie do departamentu, bo nie byłem tam już od trzech tygodni. Na żarty poszedłem do departamentu. Naczelnik wydziału myślał, że mu się uklonię i będę go przepraszał, ale spojrzalem na niego obojętnie, ani gniewnie, ani życzliwie, i siadłem na swoim miejscu, nie zwracając jakby nikogo uwagi. [...] Położyli przede mną jakieś papiery, żebym z nich sporządził wyciąg. Ale nawet palcem nie tknąłem. Po chwili zaczęło się ogólne zamieszanie. Dano znać, że nadchodzi dyrektor. Wielu urzędników poleciało na wyprzódki, żeby mu się pokazać. Ale ja się nawet nie poruszyłem. [...] Co mi tam dyrektor! Żebym ja miał wstawać przed nim? Przenigdy! [...] Najbardziej mnie ubawiło to, kiedy mi podsunęto jakiś papier, żebym go podpisał. Myśleli pewnie, że podpiszę u samego dołu: referent ten a ten. A figę! Na najpierwszym miejscu, gdzie się podpisuje dyrektor departamentu, skreśliłem: „Ferdynand VIII”. Trzeba było widzieć, jakie korne milczenie zapanowało! Ale ja skinąłem tylko ręką: – Nie żądam żadnych oznak wiernopoddańczych! – powiedziałem i wyszedłem.

*Pamiętnik wariata*, s. 260

Ta zabawowa inkarnacja Poprisczczina ma tu konsekwencje daleko wykraczające poza prostą funkcję demaskacji, choć takie efekty niewątpliwie rodzi. Zdajmy pokrótce sprawę z ich zasięgu.

Szynele – leitmotiv twórczości Gogola – pojawia się zwyczajowo jako oznaka statusu. Pustki lub zagadki statusu, warto nadmienić.

szynel miałem bardzo zniszczony, a przy tym niemodny. Teraz nosi się płaszcze z dłuższymi pelerynkami, moje zaś były krótkie – jedna na drugiej; ponadto sukno nie stępowane.

*Pamiętnik wariata, s. 253*

W takim to przyodziewku nasz urzędnik śledzi damę swojego serca u początku historii. W dalszej części tak skomentuje przykre uwagi wyższego o dwie rangi urzędnika:

Daj no mi frak ostatniej mody, szyty u Ruesa, a niech sobie jeszcze zawiąże taki halsztuk, jak ty nosisz – ani się będziesz do mnie umywał. Brak mi środków – w tym sęk.

*Pamiętnik wariata, s. 255*

Z kolei powziąwszy zamiar ujawnienia się jako król hiszpański, zmierzy się ze swej strony z jednym tylko problemem:

Przeszkodę stanowiło dotychczas to, że nie mam królewskiego stroju. Muszę zdobyć przynajmniej płaszcz królewski.

*Pamiętnik wariata, s. 260*

Na dokładkę Gogol odmalowuje bezbłędną tyradę o niesprawiedliwości dziejowej. Wybaczcie Państwo przydługi cytat:

To nie może być! Bajdy! Ślub nie może się odbyć! Cóż z tego, że jest kamerjunkrem? To przecie tylko czczy tytuł: nie jakaś rzecz dotykalna, którą by można wziąć do ręki. Że jest kamerjunkrem, nie przybędzie mu od tego trzecie oko na czole. Nos ma przecie nie ze złota, tylko taki sam jak ja, jak każdy inny. Nie jada nim, ale wacha; nie kaszle nim, tylko kicha. Niejednokrotnie już chciałem dociec, skąd się biorą wszystkie te różnice?

*Pamiętnik wariata, s. 259*

Osobliwe, że dokładnie w tym momencie, kiedy drzwi do wyjaśnienia zagadki zostają już uchylone, pojawia się pytanie o różnicę. Osobliwość ta narasta, im bardziej wchodzimy za kuliszy tego, co zowie się hierarchią. W trzech ruchach szalony Poprisczyn wprowadza nas w arkana społecznej drabiny. Padają tu wszelkie staromodne rozpoznania, które przytoczymy w telegraficznym skrócie wraz z oględnym komentarzem. Pierwsze rozpoznanie cytowaliśmy nieco wcześniej. Nie szata zdobi człowieka, a jeśli zdobi, to tym

gorzej dla człowieka i lepiej dla szaty. W tym miejscu Gogol uruchamia poczciwą tradycję spod znaku „z chłopą król”.

Ileż to mamy przykładów z historii: jakiś tam zwykły, nie szlachcic nawet, ale prosty mieszczanin lub zgoła chłop – i raptem wychodzi na jaw, że to magnat, a czasem nawet i cesarz... Jeżeli z chłopą coś takiego może być, cóż dopiero ze szlachcica!

*Pamiętnik wariata, s. 259*

Drugie zacznijmy od cytatu:

O, jakże przewrotną istotą jest kobieta! Dopiero teraz uświadomiłem sobie, co to jest kobieta. Dotychczas nikt jeszcze nie zbadał, kogo ona kocha: ja pierwszy odkryłem to. Kobieta kocha diabła. Tak, bez żartów. Fizycy piszą głupstwa, że kobieta to a owo... Nieprawda: kobieta rozkochana jest tylko w diable. Spójrzcie, jak ona lornetuje z łoża pierwszego piętra. Sądźcie, że przygląda się temu grubasowi z gwiazdą na piersi? Gdzie tam! Patrzy na diabła, który stoi za nim. Oto schował się w jego gwiazdę. Kiwa na nią stamtąd palcem.

A ona wyjdzie za niego, wyjdzie!

*Pamiętnik wariata, s. 260*

I ten fragment nie wymaga specjalnego komentarza. Nie człowiek, lecz pozycja, nie wartość, lecz insygnia władzy. Ten wątek jest tylko suplementem poprzedniego.

Rzecz wreszcie trzecia:

Ostatecznie, wszystkie te przykrości wynagrodziłem sobie pewnym odkryciem, jakie zrobiłem: mianowicie, że każdy kogut ma swoją Hiszpanię, która leży pod piórami.

*Pamiętnik wariata, s. 262*

Zdaje się, że wracamy tu szerokim łukiem do człowieka („Człowieka mi dajcie! Człowieka szukam, łaknę stawy duchowej, która by żywiła i osładzała mi duszę! A zamiast tego takie banialuki” – *Pamiętnik wariata, s. 258*). Istniałaby zatem pewna pozostałość nieredukowalna do systemu, rzecz nie-do-wciśnięcia i całkiem prywatna, drzemiący pierwiastek ludzki ostatecznie nieintegrowalny z tkanką społeczną. Ale Gogol wskazuje – i to przekreśla nasze zakusy – że ta przestrzeń jest w gruncie rzeczy nie tyle przestrzenią pełni odsłaniającej się za fasadą wstęg i orderów, ile kryzysem wszelkiej pełni, która nadchodzi, kiedy oddajemy się we władzę szaleństwa.

Wierzchnie okrycie tej fabuły szkicuje postać ludzko podobną do szlachcica z La Manczy. To podobieństwo jest zresztą dość nachalnie przywoływane przez hiszpańskie adresy (Poprisczin ubzdurał sobie, że jest królem hiszpańskim; zakład psychiatryczny myli z dworem królewskim; współpacjenci urzędnika to kapucyni, pielęgniarz-oprawca jest wielkim inkwizytorem). Obaj – Don Kichot i Poprisczin – zdjęci są urokami lektury: podczas gdy Don Kichot pogrąża się w romansach rycerskich, urzędnik czytuje prasę („Dziś całe rano czytałem gazety. Dziwne rzeczy dzieją się w Hiszpanii. Nawet się nie mogę w tym dobrze połąpać” – *Pamiętnik wariata*, s. 259). I tu, w tym miejscu drogi obu bohaterów nieco się rozchodzą. Podczas gdy przygody błędnego rycerza zaczarowują rzeczywistość samą już w sobie mocno czarowną, umysł Poprisczina „racjonalizuje” wszelkie sprawy od strony – by tak powiedzieć – politycznej. Bo faktycznie w 1833 roku umarł król Hiszpanii Ferdynand VII – zagorzały klerykał. Po jego śmierci rozgorzała natomiast walka o konstytucję. Słowem, nasz bohater nie cofa się w czasie (jak to było w przypadku Don Kichota), ale w przestrzeni. Inicjuje w ten sposób ruch po linii poziomej, nie wertykalny. Istotna zmiana. Wtargnięcie na scenę Don Kichota wywołuje ferment. Fermentuje świat, fermentuje Sancho upojony obietnicą wyspy. Tymczasem nadejście króla Ferdynanda zostaje natychmiast zepchnięte na margines systemu, przestaje oddziaływać, jest wykluczone. Kiedy Poprisczin zatriumfuje w myślach nad okrutnym „inkwizytorem”<sup>28</sup>:

28 Chodzi tu o postać pielęgniarza z zakładu psychiatrycznego.

Wielki inkwizytor wyszedł ode mnie zagniewany, grożąc mi jakąś karą. A ja kpię sobie z jego bezsilnej złości, ponieważ wiem, że działa jak maszyna, jako narzędzie Anglika

*Pamiętnik wariata*, s. 262

– to można rzecz rozumieć dwojako. Z jednej strony jest to ruch w istocie polityczny. Z Rosji bliżej do La Manczy niż Londynu.

Kłopot z Rosją [...] sprowadza się do bezprecedensowych negocjacji między bezdusnością „zachodniego ducha” a duchawiczością „rosyjskiej duszy”<sup>29</sup>

29 C. WODZIŃSKI: *Trans, Dostojewski, Rosja. Czyli o filozofowaniu siekierą*. Gdańsk 2005, s. 11.

– pisze Wodziński. Gogol zdradza w ten sposób patologiczne przywiązanie do starej Rusi. Mechaniczny charakter angielskich tortur zbiega się w czasie z momentem w historii dla szaleństwa wyjątkowo okrutnym. Na dziejową arenę wkracza proces produkcji. Już nie sam sobie gospodaruję, ale jestem zagospodarowywany, wkomponowany w bezbłędny mechanizm.

30 M. FOUCAULT: *Choroba umysłowa a psychologia...*, s. 105.

Tym, co łączy wszystkich mieszkańców domów odosobnienia, jest niezdolność do uczestniczenia w produkcji, obiegu lub gromadzeniu bogactw<sup>30</sup>.

Czy można pokusić się o taką tezę: granica szaleństwa – tego, co za szaleństwo uznajemy – jest zależna od ekonomicznej użyteczności szaleńca? Łatwiej teraz zrozumieć przemoc, jaka dokonuje się na naszych oczach. „Działa jak maszyna” oznacza w tym miejscu proces usuwania pierwotnej ekspresji, różnicy, jaka wytrąca się wszędzie tam, gdzie próbujemy spoić system. Z jednej strony, obserwując trudności umysłowo chorego z odnalezieniem się w czasie i przestrzeni, doznajemy w gruncie rzeczy przerażenia, że ów człowiek jest tak głęboko niezdolny do partycypacji w procesie życia, który to proces jest właściwie procesem pracy. Z drugiej strony jednak uderza nas ekspresja tego podmiotu.

31 Ibidem, s. 116.

szaleńcy nie są traktowani ani dokładnie tak jak chorzy, ani całkiem tak jak przestępcy, ani wyłącznie jak czarownicy, ani też po prostu jak zwykli ludzie. Jest w nich coś, co wyraża różnicę i domaga się odróżnienia<sup>31</sup>.

Dopiero wówczas, gdy ukrywamy szaleńca, budowla może być dokończona.

[Bataille pisał: „Filozofia nigdy nie jest domem, lecz placem budowy. Jej niedokończoność nie jest jednak niedokończonością nauki. Nauka wytwarza wielość dokończonych dziedzin i jedynie jako całość stanowi pustkę. Tymczasem w wysiłku osiągnięcia spójności niedokończoność nie sprowadza się do ubytków myśli – we wszystkich punktach, w każdym punkcie, mamy niemożliwość stanu ostatecznego”<sup>32</sup>].

32 G. BATAILLE: *Teoria religii*. Przeł. K. MATUSZEWSKI. Warszawa 1996, s. 13.

Zniknięcie szaleńca rodzi śmiałość właściwą epoce sensu. Dozorczą takiego porządku stanie się aparat psychiatryczny. W ten sposób prawo (orzecznictwo prawa) zyskuje ostateczne u-prawo-mocnienie od strony dziedziny, która klasyfikuje wszelkie odstępstwa. Z czasem postać psychiatry przeradza się w figurę terapeuty o jasnym obliczu. Łagodzący charakter tej odmiany skrywa okrutne cięcie dokonane już u samych podstaw.

33 M. FOUCAULT: *Choroba umysłowa a psychologia...*, s. 114.

Psychologia nigdy nie pozwoli nam poznać prawdy o szaleństwie, albowiem to właśnie szaleństwo stanowi prawdę psychologii<sup>33</sup>.

Istnieje poważny powód, dla którego psychologia nigdy nie będzie w stanie opanować szaleństwa; chodzi o to, że psychologia stała się w naszym świecie możliwa dopiero wów-

czas, gdy już zapanowano na szaleństwem i wykluczono je z gry. Kiedy zaś czasami pojawiają się zew czy przebłyski szaleństwa – u Nerval, Artauda, Nietzschego czy Rousseau – wówczas psychologia milknie i pozostaje bez słowa w obliczu języka, którego sens czerpany jest z tego tragicznego rozdarcia i z tej wolności, o których człowiekowi współczesnemu każe zapomnieć samo istnienie „psychologów”<sup>34</sup>.

34 Ibidem, s. 131.

Trzy instytucje (prawo, medycyna i ekonomia), których nadrzędną rolą jest podtrzymanie własnego autorytetu (wszelkie pozostałe role są drugorzędne), znajdują umocowanie w języku. Języku – dodajmy – który prędzej gotów oszaleć, niż zdać sprawę z artykulacji władzy, która przezeń przemawia. Wielce to osobliwe, że kolejne rewizje odkryć w tych trzech dziedzinach nigdy nie powodują uszczerbku na autorytecie ich nadawców. Narracje prawa, medycyny i ekonomii są na każdym etapie rozwoju z gruntu autorytatywne.

System jest anulowaniem dyskursywnego żywiołu – zamknięciem oka, kresem sensu, nocą wiedzy i zawarciem drzwi przed nieoczekiwanym. Ale stanowi także warownię. Jest schronieniem dla wszystkich tych, którzy dokonując wielkiego otwarcia, odnajdują w sobie kruchość szaleńca. Jest ostatecznym tryumfem i kresem samego siebie.

Literatura natomiast czyni szaleńca swym wiecznym sobowtorem, który rozprzęga sensotwórcze efekty narracji. Dokładnie z czymś takim mamy do czynienia w *Pamiętniku wariata*. Zobaczmy to wyraźnie, gdy prześledzimy dziwne gry tego pisma. Jak pewnie Państwo pamiętacie, Don Kichot jest opowiadany, Poprisczin opowiada się sam. Krańcowym ogniwem tej ewolucji jest wymazanie chorego bohatera. Już w samej narracji skryje się coś chorobliwego. Chory więc o sobie opowiada, a snując swoją historię, odsłania jednocześnie chorobliwy status rzeczywistości.

nasze społeczeństwo wyraża się w formach chorobowych, w których nie chce się rozeznać?<sup>35</sup>

35 Ibidem, s. 98.

Poprisczin, miejscami wręcz kontestujący społeczne porządki, to jednocześnie postać do granic nimi przesiąknięta. Jest – jeśli można to tak ująć – pod przemożnym urokiem hierarchii. Przemysłowość Gogolowskiej fabuły ma tu charakter unikalny. Zasadniczy rdzeń narracji owija się wokół obcowania ze świętymi. Tak to właśnie można określić: relacja między Poprisczinem a ukochaną, jej ojcem i gabinetem jest świętych obcowaniem. Każdy rekwizyt urasta tu do rangi relikwii:

O nieba, co za chustka! Z najcieńszego batystu – ambra, najszersza ambra! Aż tchnie cała dyrektorstwem!

*Pamiętnik wariata*, s. 255

Jakże stąd blisko do konotacji religijnych, religijnej sankcji wszelkiej władzy. Uspienski tak podkreśla na tę okoliczność specyficzną odrębność rosyjskiej kultury:

nie tylko treść, ale i forma bywała postrzegana jako odzwierciedlenie boskiej prawdy, jako bezpośrednie świadectwo o Bogu<sup>36</sup>.

36 B. USPIENSKI: *Religia i semiotyka*. Wybrał, przeł. i przedmową opatrzył B. ŻYŁKO. Gdańsk 2001, s. 69.

Nie mogę się w tej chwili oprzeć urokom źródłosłowu. Tak więc *hierarchia* od dwóch słów: *arch* – ‘główny; naczelny; przewyższający innych; pierwszy w czasie; początkowy; pierwotny’ oraz *hier*o – ‘potężny; nadprzyrodzony; święty’.

Jeśli będziemy szukać zarzewia wszelkich odchyłeń Ferdynanda, to trafimy na powrót pod kamienicę Zwierkowa, gdzie po raz pierwszy bohater usłyszy rozmowę dwóch psów. Od tej pory, aż do momentu utknięcia w zakładzie dla obłąkanych, śledzi zwierzęta, by wreszcie wykraść ich listy. Warto nadmienić, że Medzi to suczka dyrektorskiej córki, natomiast Fidel to piesek dwóch dam, które spotykają jej „wielmożność”. Ciekawi jesteście Państwo, co też z tych listów można wyczytać? Służę uprzejmie. Jest tu mowa o pieskich przysmakach, o charakterze pana i pani, o sekretach małżeńskich planów dyrektorówny, a także kąśliwe uwagi na temat kondycji naszego bohatera. Co więcej, znac z psiej pogawędki, że i w tym świecie (świecie zwierząt) odtwarza się porządek hierarchii: Bryś nie jest godzien dostojnej Medzi. Paralelizm tych dwóch światów odsłania bezspornie niski status bohatera. Sam Poprisczin antycypuje to rozpoznanie nieco wcześniej:

A urzędniczej braci jak psów: jeden na drugim siedzi, a trzecim pogania.

*Pamiętnik wariata*, s. 254

Nie może także dziwić, że w tej sytuacji bohater przypisuje zwierzęciu szczególne cechy:

Od dawna podejrzewałem, że pies jest mądrzejszy od człowieka; byłem nawet pewny, że umie mówić, tylko nie chce przez jakiś upór.

*Pamiętnik wariata*, s. 256



Przekonawszy się jednak, że i zwierzę nie zaradzi w kłopotach, będzie spoglądał na nie z góry, wypierał:

Styl okropnie nierówny. Od razu widać, że to nie człowiek pisał: zaczyna jak należy, a kończy po piasku. Przejrzyjmy jeszcze jeden liścik. Troszkę przydługi. Hm... daty również nie ma.

*Pamiętnik wariata, s. 257*

I właśnie w sprawie daty warto się tutaj rozmówić. Jako się rzekło, czytamy pamiętnik. Dzieło datowane. Wraz z głową Poprisczczina psuje się także datownik. Z początku dzieło jest oznaczane sumieniem: 3 października, 4 października, itd. W momencie jednak, gdy urzędniczyna odnajduje się jako król hiszpański, pojawi się taki oto stempel: 43 kwietnia roku 2000. Późniejsze wpisy to już istna paranoja: „Zadnej daty. Dzień był bez daty”; „Tegoż roku w styczniu, który nastąpił po lutym”; „Dnia 25”. Tym to sposobem następuje odczasowienie fabuły i eskalacja szaleństwa. Nie zapędzajmy się jednak zanadto, ponieważ świeżo upieczony król hiszpański zdaje się myśleć niezwykle jasno:

Nie pojmuję, jak mogłem dotychczas myśleć, że i wyobrazić sobie, że jestem radcą tytularnym. Jak mogła mi strzelić do głowy taka bizkowata myśl? Dobrze jeszcze, że nikt nie wpadł na pomysł, żeby mnie wówczas zamknąć w domu wariatów. Teraz droga przede mną otwarta. Teraz widzę wszystko jak na dłoni.

*Pamiętnik wariata, s. 259*

Jest kolejny moment fabuły w zasadzie nie-do-przejścia. Raz jeszcze przywołajmy Foucaulta:

chory doświadcza lęku i działania mechanizmów odparcia w zamkniętym kręgu – sprawia to, że broni się on przed lękiem za pomocą mechanizmów, z którymi lęk ten związany jest historycznie i które w ten sposób powodują jego eskalację, nieustannie grożąc jej nawrotem<sup>37</sup>.

Podczas gdy osoba normalna doświadcza sprzeczności, osoba chora doświadcza w sprzeczny sposób; doświadczenie jednej otwiera się na sprzeczność, doświadczenie drugiej w niej się zamyka<sup>38</sup>.

Ale zamykając się w sprzeczności, szalenie jednocześnie ją dramatyzuje. Innymi słowy, doprowadza ją do rozedrgania, wywołując

37 M. FOUCAULT: *Choroba umysłowa a psychologia...*, s. 67.

38 *Ibidem*, s. 65.

efekt wrzenia. Owo wrzenie można ostudzić – jak czyni to psychiatria – redukując je do postaci organicznej:

Jeśli definiujemy chorobę umysłową, posługując się tymi samymi pojęciami co w wypadku choroby organicznej, jeśli izoluje się i zbiera symptomy psychologiczne podobnie jak symptomy fizjologiczne, to przede wszystkim dlatego, że chorobę – umysłową czy organiczną – postrzega się jako naturalną esencję objawiającą się w formie specyficznych symptomów. A zatem obu tych form patologii nie łączy jedność realna, lecz tylko – a i to za pośrednictwem dwóch wspomnianych postulatów – paralelizm abstrakcyjny. Jednak problem jedności ludzkiej i całości psychosomatycznej pozostaje całkowicie otwarty<sup>39</sup>.

39 Ibidem, s. 14–15.

W duchu tego otwarcia zabieramy tu głos.  
Na swój sposób wyrazi to Gogol:

A pochodzi to wszystko, przypuszczam stąd, że ludzie wyobrażają sobie, jakoby mózg ludzki mieścił się w głowie; bynajmniej: przynosi go wiatr od strony Morza Kaspijskiego.

*Pamiętnik wariata, s. 259*

Jeśli chcemy rozpisać źródła szaleństwa Poprisczczina na prostej linii: nędza – bliskość bogactwa – obłądna żądza władzy, to niewątpliwie znajdziemy po temu asumpt:

Chciałbym zostać generałem, nie po to, żeby otrzymać rękę i resztę – o nie! Chciałbym nim być, żeby zobaczyć, jak to oni będą nadskakiwać i wyprawiać te przeróżne sztuczki i dwuznaczniki dworskie... A potem powiedzieć im wręcz, że pluję na nich oboje. Przykro jest człowiekowi, do diaska!

*Pamiętnik wariata, s. 259*

Ścieżka zdrowia tego mężczyzny to permanentna erozja poczytalności (po-czytelności?).

Ale najbardziej martwiło mnie wydarzenie, jakie ma nastąpić jutro. Jutro o siódmej nastąpi dziwne zjawisko: ziemia osiadzie na księżycu. Pisze o tym znakomity chemik angielski Wellington. Wyznaję, że poczułem szczery niepokój, kiedyś uprzytomnił sobie niezwykłą wrażliwość księżyca. Księżyc przecież jest zazwyczaj wyrabiany w Hamburgu, i to bardzo kiepsko. Dziwię się, że Anglia nie zwróciła na to uwagi. Zrobił go kulawy bednarz, jakiś dureń, który nie ma pojęcia o księ-

życiu. Włożył tam smolistą linę i nieco oleju rzepakowego: stąd ten okropny smród na całej ziemi, że aż trzeba zatykać nos. Dlatego też księżyc jest taką delikatną kulą, że ludzie tam żyć nie mogą: dziś mieszkają tam same nosy. I z tego powodu nie możemy nigdy zobaczyć swoich nosów, wszystkie bowiem przebywają na księżycu.

*Pamiętnik wariata, s. 261*

Jest to już końcowe stadium choroby. I choć dałoby się wyłuskać z tego bełkotu pierwiastki konsumowalne (znak-owienie rzeczy przez naukę, prymat Anglii na scenie politycznej itd.), to pozostaje zawsze resztką, osłupienie rodzące się na styku tych dwóch możliwości: sensu i non-sensu, które nie jest ani jednym, ani drugim. Gogol wpędza nas w jeszcze większe tarapaty, podsyłając najbardziej zagadkową formułę tego tekstu:

Zrobiłem odkrycie, że Chiny i Hiszpania to jedno i wyłącznie przez nieuctwo uważa się je za dwa różne państwa. Radzę każdemu, żeby umyślnie napisał na papierze słowo Hiszpania, a wypadną z tego Chiny.

*Pamiętnik wariata, s. 261*

Co to znaczy?! Pozwolę sobie przywołać pewien fragment *Martwych dusz*:

40 Narrator opisuje tu dwóch służących Cziczikowa: Selifana i Pietrka.

Nie zawadzi, jeśli czytelnik zapozna się z tymi dwoma poddanymi<sup>40</sup> naszego bohatera. Chociaż, rzecz prosta, są oni osobistościami mało wybitnymi, takimi, które nazywa się drugorzędnymi i trzeciorzędnymi, chociaż główne posunięcia i sprężyny akcji poematu nie na nich się opierają, zaledwie gdzieś ich dotykają, i z lekka o nie zahaczają – lecz autor lubi we wszystkim być bardzo dokładny, i pod tym względem, pomimo że sam jest Rosjaninem, chce być akurat jak Niemiec. [...] [Pietrek – D.M.] Usposobienia był raczej milczącego niż gadatliwego; posiadał nawet szlachetną skłonność do oświaty, to jest do czytania książek, o których treść się nie troszczył: było mu zupełnie wszystko jedno, czy to przegody zakochanego bohatera, czy po prostu elementarz albo modlitewnik – wszystko czytał z jednakową uwagą; gdyby mu podsunęto chemię, i tej by nie odrzucił. Podobało mu się nie to, o czym czytał, lecz raczej samo czytanie, ściślej, sam proces czytania, że oto z liter ciągle wychodzi jakieś słowo, które czasami diabli wiedzą co znaczy<sup>41</sup>.

41 M. GOGOL: *Martwe dusze*. Przeł. W. BRONIEWSKI. W: M. GOGOL: *Wybór pism...*, s. 356.

Ruch wychodzenia lub też wypadania słów z liter (błędnych, jak to się dzieje w przypadku Poprisczczina) jest dokładnie tym, co pozwala interpretować Gogola przeciw samemu Gogolowi.

Nie wątpię, że pisarz podjął się tu – swoim zwyczajem – stworzenia dzieła ezopowego. Chciał z pewnością błyskotliwie odmalować niesprawiedliwość i okrasić ją salwą śmiechu. Zdradzić nam swoje upodobanie do ludowych opowieści. Ale ów „rygor niemiecki”, oddanie się we władzę pisma każe się mieć na baczności. Sam Gogol do końca mocował się z efektami swojego dzieła. Entuzjastycznie witane opowiadania przeszły w komedie i *Martwe dusze*, które podzieliły krytykę wedle politycznych upodobań. Ci o orientacji procarskiej zarzucali Mikołajowi, że kreśli tylko podłe charaktery, podczas gdy „demokraci” brali go na sztandary. Jednym i drugim do głowy nie przyszło, że bohaterowie tych historii są wewnętrznie pęknięci. Obnażeni przez demokratyczną satyrę i uwielbieni jako inność czysto rosyjska. Role się odwróciły, gdy Gogol podjął próbę skreślenia drugiego tomu *Martwych dusz*. Tam właśnie, w obawie przed rewolucyjnymi efektami swojej pracy, zamierzał stworzyć postaci dobrych obszarników, na powrót zaczarować Rosję. Dwukrotnie palił tę księgę już gotową. Ten okres nadwątlił psychiczne siły pisarza. Nigdy już zresztą Gogol nie odzyskał sił twórczych. Zdążył jeszcze przed śmiercią – w *Spowiedzi autora* – usprawiedliwić się z odwrotu, ale pisać już nie zdołał. Tajemny splot literatury i szaleństwa odkrywa się tu przed nami.

Bo pisanie wytwarza naturalnie pewne efekty polityczne, ekonomiczne czy społeczne (bywa głosem w sprawie, bywa tak wykorzystywane). Ale czymś innym jest instrumentalna lektura, lektura interesowna, a zupełnie czymś innym śledzenie prywatnej ekonomii pisania. Wraz z nadejściem „buntu mas”<sup>42</sup>, jak to określi Ortega y Gasset, wszelkie doświadczenie transgresywne skryte w tej prywatności jest natychmiast przemieniane w lekkostrawne odstępstwo, dziennikarski bełkot.

42 Por. J. ORTEGA Y GASSET: *Bunt mas*. Przeł. P. NIKLEWICZ. Warszawa 1995.

Dariusz Mężyk

**Madness Economy in Nikolai Gogol's *Diary of a Madman*  
On windmills, *cogito*, theory and madness**

Summary

This text is an attempt to touch on the theme of madness in literature. While recalling an interpretation of the first modern novel (Vladimir Nabokov, *Lectures on Don Quixote*), the author refers us to a Cartesian attempt of bypassing the madman position. This moment, described in *Meditations on First Philosophy*, becomes the starting point for

musings on the nature of language and the contemporary state of literary research, erroneously seeking a basis in legal and economical sciences. The main subject here remains a rigorous analysis of Nikolai Gogol's *Diary of a Madman*. In the course of the lecture, the nature of madness is revealed in front of the reader, the economy of "insane" writing, which jeopardizes any positivity of sense, and with it – the achievements of traditional metaphysics. A comparative dimension of interpretation also reveals historically fluid borders between a sane and insane subject.

Dariusz Mężyk

**L'économie de la folie dans *Le Journal d'un fou* de Nicolas Gogol  
Sur les moulins à vent, le *cogito*, la théorie et la folie**

Résumé

La présente étude est un essai d'analyse du problème de la folie dans la littérature. En se référant à l'interprétation du premier roman moderne (Vladimir Nabokov, *Cours sur Don Quichotte*), l'auteur nous renvoie à la tentative de Descartes de contourner le danger de la folie. La description de ce passage dans les *Méditations sur la philosophie première* sert de prétexte à la réflexion sur la nature de la langue et sur l'état actuel des études littéraires qui cherchent, à défaut, un fondement dans les sciences juridiques et économiques. L'analyse rigoureuse du *Journal d'un fou* de Nicolas Gogol constitue le thème dominant du présent travail. La lecture de cette œuvre dévoile la nature de la folie, l'économie d'une écriture « folle » qui met en question toute portée positive du sens et, en conséquence, les gains de la métaphysique traditionnelle.